Stanisław Turowski

"Juliusz Słowacki. Historya ducha poety i jej odbicie w poezyi", cz. I-II, Józef Tretiak, Kraków 1903 : [recenzja]

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 2/1/4, 667-678

1903

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

MUZEUM HISTORII POLSKI

Mimo tego oświetlenia »usposobienie i rodzaj umysłu« Lubomirskiego pozostają nadal nie wyjaśnione a zagadka, jak była, tak i jest jeszcze zagadką.

Jan Magiera.

TRETIAK JÓZEF, Juliusz Słowacki. Historya ducha poety i jej odbicie w poezyi. (Część I. i II. 1809—1842. Kraków, nakł. Akad. Umiej. 1903 r.

Profesor Tretiak występuje do krytycznych zapasów, przygotowany doskonale. Bogaty skarb erudycyi, zaopatrzony wybornie, stoi tuż pod jego ręką tak, że każdej chwili może zeń czerpać obficie. Oko ma śmiałe i bystre; zmysł krytyczny, z natury przenikliwy, a ćwiczeniem wyrobiony, prowadzi go w głębokie tajniki twórczości poetów i w zagadkowe problemy dzieł, przyświecając jak jarząca się lampa i jak ona rozpraszając ciemności. Błyski i trwałe światło talentu czy geniuszu chwyta szparko jego zmysł estetyczny, a świadomość odebrawszy pełne rozkoszy wrażenia zdaje sobie z nich sprawę dokładnie i gruntownie. Z drugiej strony, kiedy jego smak uderzony zostanie niemile, umie dociec powodów usterek i wad, w obu zaś wypadkach do usług przybiega mu wielka łatwość pisarska; jakoż stylem, ubranym często w barwne szaty poetycznych zwrotów, zawsze jasnym i bez zarzutu, wypowiada swoje spostrzeżenia i uwagi. Nie bada nigdy z zimnem sercem i oschłą duszą. Ciepła krew płynie w jego żyłach, ciepło tchnie z jego dzieł. Jest krytykiem, który nie tylko z natury posiada rozliczne, a potrzebne przymioty, nie tylko wyrobił się nauką i wprawą, ale także ożywiony ogniem uczucia pisze jak z rozumu, tak z serca.

Działalność krytyczna prof. Tretiaka roztoczyła się głównie około okresu najświetniejszego rozwoju poezyi polskiej, najściślej zaś około dwóch »chorążych« tego okresu, Mickiewicza i Słowackiego. Badając przez szereg lat dzieła obu poetów, wżywając się w ich życie, zastanawiając się nad wzajemnymi ich stosunkami, doszedł do przekonania, że koniecznie wszechstronnego domaga się wyjaśnienia i osądzenia antagonizm, jaki wrzał między nimi i jaki po ich śmierci prawem duchowego spadku rozpalił się w sercach wielbicieli, rozbitych na dwa obozy jednostronnem wpatrzaniem się w jedno z dwóch słońc poezyi naszej. Z takiego źródła wytoczyła się i rozlała niby szerokiem i głębokiem korytem historya ducha Jul. Słowackiego i odbicie jej w poezyi. Śmiało i otwarcie stanął był prof. Tretiak przy Mickiewiczowskiej chorągwi, przeciwną uznał za wrogą i drzewcem krytycznej kopii począł rozbijać drugiej partyi wspaniałe tarcze, utworzone z dzieł drugiego wodza. Wreszcie teraz zebrał długo kowane bronie argumentów, skupił do stanowczego ciosu i. zamierzywszy początkowo przedstawić tylko antagonizm dwóch naczelnych chorążych poezyi polskiej, napisał historyę ducha Słowackiego.

Antagonizm ów zrobiony został kośćcem całego dzieła. Nie porzucono, nie ominięto niczego, coby wsparło zasadniczą myśl dzieła, a myślą tą jest wykazanie niższości Słowackiego od Mickiewicza pod każdym nieledwie względem. W dzisiejszych oto czasach kult dla obu poetów prawie jest równy. Lecz nieprawda, że takie rozwiązanie ideowej walki jest szczęśliwe. Nie, nigdy! Polega ono »na niezrozumieniu tej walki, na niejasnem pojmowaniu wzajemnego stosunku dwu tych przeciwników i znaczenia ich twórczości dla narodu« (str. 2). Więc precz z koroną, jaką potomność zdobi niegodne skronie dumnego samozwańca, więc z jego ramion zedrzyjmy co rychlej królewską purpurę, więc z jego hojnej dłoni wytrąćmy to berło, o którem marzył przez całe życie i dla którego całe życie poświęcił!

Jakoż, by ten słoneczny dzień jedynej w dziejach Polski detronizacyi nastąpił co rychlej, prof. Tretiak przyjął na siebie rolę oskarżyciela.

Spokój bezstronnego sędziego pękł naturalnie od razu, a na jego miejscu począł róść z przeraźliwą szybkością grzyb uprzedzenia, wywołując twierdzenia bez dowodów, sofistyczne rozumowania i przemilczenia.

Przykłady twierdzeń bez dowodów przytoczę krótko. Bez dowodu, jakoby Słowacki w »Dumie Ukraińskiej« starał się już »prześcignąć« tych, których łatwiej niż Mickiewicza mógł przewyższyć, to jest Ukraińców (str. 20).

Bez dowodu, jakoby Słowacki już w 1828. r. uważał Mickiewicza »za głównego swego współzawodnika« (str. 22). Nie byłby mu przecież oddawał »pod sąd«, jak się w liście do Odyńca (21. V. 1829) wyraża, swej powieści, bo się współzawodnikowi nie każe siebie sądzić.

Nie ma nigdzie śladu faktycznego dowodu, jakoby powieści Hugo, Mnich, Bielecki, Arab i Żmija płynęły z chęci prześcignięcia Wallenroda w duchu bajronicznym (str. 22.)

Bez dowodu, jakoby Słowacki w przedmowie do tragedyi Mindowe chciał ubocznie obniżyć wartość Wallenroda, nie zaś uprzedzić możliwe względem siebie zarzuty naśladownictwa Byrona, powołując się na podobne ślady w poezyi największego z polskich poetów (str. 35).

Bez dowodu, jakoby Słowacki w przedmowie do Lambra umyślnie skromnie prosił o jedno z niższych miejsc wśród poetów, ażeby krytyka wyznaczyła mu »najwyższe ze wszystkich« (str. 49).

Bez dowodu zgoła, jakoby Słowacki »utożsamiał się« z Kordyanem (str. 55). Mógł w Kordyana włożyć niektóre rysy własne, ale się nie utożsamiał. Podobnie identyfikuje prof. Tretiak Anhellego ze Słowackim (str. 94). Tymczasem Anhelli np. mówi raz o sobie: »Życie moje zaczęło się od przerażenia. Ojciec mój umarł śmiercią synów ojczyzny zamordowany; a matka moja umarła z boleści po nim, a jam jest pogrobowcem«. (Dzieła J. S. Krak. 1888. t. II. 192). Wobec takich i tym podobnych rzeczy trzebaby osobnego dowodu na ową identyczność. Czy dlatego, że w hr. Henryku z »Nieboskiej« znajdą się rysy Krasińskiego, poważymy się utożsamiać obu?

Domyślniki idą jak z płatka, równie gładką płyną sofistyczne rozumowania.

Dziwić się szczerze trzeba — czytamy między wierszami 17. stronicy — że piętnastoletni chłopak nie miał żadnych duchowych związków z Filaretami, o których przecież podówczas zgoła nie było głucho we Wilnie. Przynajmniej w całej jego spuściźnie, czy to poetycznej, czy listownej, o Filaretach jakby makiem zasiał. (Tymczasem w pamiętniku Słowackiego brak właśnie rozdziałów, odnoszących się do tych lat, więc wniosków żadnych wyciągać się nie powinno). Ale z pewnością nie sympatyzował z tym ruchem, skoro zgodził się na ojca chrzestnego Pelikana i był na balu u Nowosilcowa. Wprawdzie matka jego była wdową po Drze Bécu, którego łączyły ścisłe związki z wileńskim senatorem i senatora poplecznikami, wprawdzie Nowosilcow a Pelikan nie byli jeszcze tak osławieni, jak po wyjściu Dziadów; ale nic to.

Przeprowadziwszy więc dowód, że Słowacki nie sympatyzował z Filaretami, bo miał stosunki z gnębicielami Filaretów, obraca prof. Tretiak rzecz całą na str. 18. i na odwrót takie wyprowadza wnioski: Słowackiego nic nie odstręczało od Nowosilcowa i jego kliki, bo Filaretyzm nie znalazł echa w jego sercu.

Człowiekowi nieuprzedzonemu dość przykładu. Potrąćmy jeszcze o przemilczanie. Ponieważ Smutno mi Boże nie ma zdaniem 85. strony wielkiego znaczenia w historyi ducha Słowackiego, więc zostało najzupełniej pominięte tak, jakby nie było najwewnętrzniejszem wyznaniem i skargą i otwarciem całej głębi tęsknoty za krajem. Oto poeta, pielgrzym od młodości, tuła się po obcych ziemiach i wie, że do ojczyzny nie powróci już nigdy. Nostalgia żre go i trawi, a każda rzecz, która rodzinne strony na pamięć przywodzi, rozszerza się świeżą plamą rdzy na sercu. Nawet popioły jego nie wiadomo gdzie kamień grobowy pokryje. Ogarnia go uczucie własnej nicości, smutkiem wszystkie dźwięczą struny. I taki wiersz wykreślony został z indeksu tych, które ducha poety odzwierciadlają najgłębiej!

Po poznaniu dróg, jakie sam sobie usypywał prof. Tretiak, snadnie wywnioskować możemy, dokąd doszedł. Wprawdzie nie skupił jeszcze ostatecznej syntezy, której wygląd będzie nad wyraz przykry, jeźli tylko oprze się ściśle na przesłankach już wypowiedzianych, ale w całem dziele tyle rozsypanych jest śladów jego poglądów na każdą cechę duszy Słowackiego, że, skoro je sami we wiązki zwiążemy, dostaniemy sute bukiety ostów i pokrzyw. Jakie łaskawe, jakie delikatne, jakie pobłażliwe było zdanie Mickiewicza o poezyi Słowackiego, że to świątynia bez Boga! Jeśli porównamy to wyrażenie z obrazem duszy Słowackiego, jaki roztacza się w książce prof. Tretiaka, wówczas wyda nam się ono niemal pochlebstwem. Oto cały ów duch potężny jest jakby gmachem, którego ściany i kolumny i sklepienia i łuki, wszystko, co stanowi właściwy rdzeń budowy, wszystko, na czem się inne rzeczy oprzećby mogły, wszystko jest jednym tylko, zimnym kamieniem, a nazwa jego egoizm. Zresztą w gmachu przeraźliwa pustka i mróz taki, że krew w żyłach ścina. Ściany obdarte, ozdoby zdrapane, żadnych ołtarzy, żadnych świateł, ani woni kadzideł, ani śladu życia. Przy stallach zatknięte drzewce chorągwi, na nich zwisają płótna, pokryte dziwacznemi malowidłami o krzy-

kliwych barwach, chorobliwe płody chętnie kradnącej wyobraźni. Niechaj nikt się nie waży wejść do gmachu, niechaj nikomu w myśli nawet nie zadrga spostrzeżenie, że w budowie tkwią wady jakieś ogromne, bo zaraz pęknie sklepienie, obłamie się wał kamieni i cegieł, runie w dół i zasypie rumowiskiem śmiałka. Jeden jest tylko ołtarz czysty, świeży i wonny. To ten, gdzie niewinne chłopcy, gdzie dziewczęta z gołębiemi serduszkami modlić się zechcą. Obok niego szeroko i swobodnie rozrosły się bujne, szumiące drzewa, które przecisnęły swoje pędy przez posadzkę, potem stężały, rozrzuciły kamienne płyty i pomogły zakwitnąć i różom i bławatkom i wszelkiemu kwieciu. Jedna, jedyna ustroń w ponurym gmachu! Tam, gdzie nienawiść splotła się z przyrodą a zresztą mrok, pustkowie i głusza. Okropny widok!

Czy Słowacki był patryotą? Zdaniem prof. Tretiaka patryotyzm Słowackiego pochodził z głowy nie z serca (str. 54.) i był powierzchowny, teatralny nie rzetelny do Kordyana i w Kordyanie (str 91.) i potem. »Ucieczka z Warszawy« podczas powstania stanowczo o tem rozstrzyga.

Zgodzić się — niepodobieństwem. Raczej do przekonania naszego przemówiłoby zdanie Krasińskiego, że Słowacki był tchórzem nerwami i że ta cecha jest właściwa wszystkim poetom, którzy nie reprezentują silnego indywidualizmu (str. 80).

Zdaniem prof. Tretiaka jednak Słowacki patryotą właściwie nie był nigdy. Ale był za to licytatorem. W »Lambrze« chce »przelicytować« (Wallenroda) nastrojem bajronicznym (str. 42). Kiedy zaś pisał Hugona, wtedy »na licytacyę patryotyczną jeszcze był czas nie nadszedł« (str. 24). Przedstawienia tej finansowej operacyi z uczuciami w książce prof Tretiaka nie ma dotąd; przyniesie ją pewnie część trzecia dzieła. Ale samo słowo licytator jest tak dobrane, takie okrutne, że już co do intencyi krytyka pryskają wszelkie wątpliwości.

Prof. Tretiak osnuwszy przędzą niewiary patryotyzm, tlejący ognistem zarzewiem w duszy Słowackiego, przechodzi do wysnuwania konsekwencyi. Oto Słowacki popełnił zbrodnię wobec sumienia własnego i wobec ojczyzny pisząc Grób Agamemnona. Bo czyż miał prawo oburzać się na brak Leonidasowego męstwa w Polakach, skoro jego rola w powstaniu nie była zaszczytną? (str. 86). Czyż nie był uzurpatorem sędziowskiej godności? Czy wyrodnemu niemal synowi godzi się matce gorzkie czynić wyrzuty?

Zagłębmy się w krytycznem roztrząsaniu aż do korzeni kwestyi. Czy wolno wygłaszać wzniosłe zasady temu, kto sam nie żyje wzniośle? Wogóle prawo ma za sobą. Oczywiście, jeźli żywem słowem będzie prawdę wykładał, wówczas sprawa się splącze i skutek może być zły. Zwykle słuchacze znają mniej lub więcej życie mowcy, a nie chcąc, czy nie umiejąc ściśle odróżnić osoby mowcy od tego, co jest treścią jego mowy, mogą porównać słowa z czynami autora i wówczas rażąca sprzeczność nawet ujemnie częstokroć działa. Czyny dyskredytują słowo. Jakże iść za radami mowcy, skoro on sam za niemi nie idzie, jakże mu wierzyć, skoro on sam życiem swem świadczy, że chyba wiary dla własnych wiar nie chowa, jakże uznać za wodza tego, kto obłudnym

piaskiem w oczy sypie i sam swej woli wodzem nie jest? I pewnie, ale między słowem a pismem jest przepaść, której nie zapełni podpis autora. Gdyby Grób Agamemnona wydany został bezimiennie, ciekawym, czy stawiałby ktokolwiek zarzuty na temat niestosowności? Oczywiście nie. Działałaby sama treść, wzruszałaby do głębi; dla autora, zasłoniętego przyłbicą jednałaby uwielbienie. Tak zaś jak jest, ta tylko zachodzi różnica, że wiemy, u czyich stóp złożyć należne hołdy. Toteż nie powinno się wywlekać przesadnych moralizowań. Czasem ludzie genialnego słowa są ludźmi z wolą słabą, jak pajęcza nitka. Cóż to jednak przeszkadza, czemu namiętnie wyciągać niebywałe brudy, autora stawiać pod pręgierz opinii publicznej i tym sposobem głoszone przez niego idee zacmić, czemu grunt pod przyjęcie tych idei wyjaławiać? Czemu osłabiać wrażenie, niszczyć skutek takiego rachunku sumienia, jakim jest Grób Agamemnona.

Ale prof. Tretiak zupełnie odmiennego jest zdania. Według jego zapatrywań, Słowacki bezwarunkowo prawa do czynienia wyrzutów Polsce i rodakom nie posiadał. Słowacki uciekł z kraju, Słowacki potępion jest na zawsze. Jako obciążającą okoliczność przywodzi się przekonanie, że poeta »zupełnie zapomniał o swym wyjeździe z Warszawy« (str. 87). Jest jednak w Grobie Agamemnona zdanie, które temu przeczy. Z tem zdaniem trzeba było na gwałt coś zrobić, więc prof. Tretiak zaopiniował, że wiersz »mówię, bom smutny i sam pełen winy«, wygląda, jakby wywołany raczej potrzebą rymu aniżeli potrzebą serca. (str. 88). Kto wie, jaką miał Słowacki łatwość rymowania, jak same mu wiersze z pod pióra toczyły się wartko, ten dmuchnie w bańkę hipotezy tchem przekonania; pryśnie ona w okamgnieniu.

Szukanie bezpośredniej przyczyny gromów, rzucanych na ojczyznę w Grobie Agamemnona podjęte jest znowu z uprzedzeniem (str. 86). Jest to szukanie w krainie ducha. Jeźli się szuka w krainie materyi, a szuka z przeświadczeniem apriorycznem, że się to a to znajdzie, wówczas naturalnie albo się znajdzie, albo nie. Ale jeźli się szuka z takiem uprzedzeniem w krainie ducha, to znajduje się zawsze. Trzeba sobie tylko wybrać z rozmaitych zjawisk duchowych jedno, najbardziej do szukanego bodaj pozorami zbliżone i to jedno odnośnem nazwać imieniem. Prof. Tretiak szuka egoistycznych, bezpośrednich pobudek i oczywiście znajduje.

Zastanówmy się najpierw, co jest w Grobie Agamemnona. Jest porównanie Polski z Grecyą w pewnej epoce, w pewnych analogicznych stosunkach, przyznanie wyższości Grecyi i wyrzuty czynione Polsce, że do niej niepodobna. Uznawszy tę myśl zasadniczą, łatwo inne zrozumieć. Oto trup Leonidasa leży nagi: silne przeciwstawienie do złotego pasa i czerwonego kontusza, wystawnych strojów szlachty, lubującej się w zbytkach, w zewnętrznej okazałości. Ciało greckiego bohatera ożywiał piękny duch; mężnego ducha brakowało szlachcie. Czy takie tłumaczenie nie wystarcza? Zbiorowa dusza Polski mimo chwilowych upadków, przecież jest anielska. Posiada ona wszystkie zdolności idealne, może wznieść się w najwyższe krainy uczucia, w zawrotne sfery wyobraźni, ale Polska więzi tę duszę w »czerepie rubasznym«, czyli nie kształci

tak przewagi ducha nad ciałem, aby ono, straciwszy ważkość ziemskiej rubaszności, przestało ciężyć u skrzydeł idealnego uczucia i lotnej wyobraźni. Serca Polsce nie brak, ale brak rozumu. Sęp wyjada jej »nie serce — lecz mózgi«. Znaczy to, że nowy Prometeusz ulega chorobie zwanej abnegacyą pracy nad sobą. Gdyby uświadamiał sobie błędy i grzechy, gdyby rozum wyostrzył, gdyby uświadomioną wolę wytężył, wtedy zniszczyłby wady cielesne, wtedyby rozpętał ducha.

Tymczasem, aby wytłumaczyć to wszystko, wywodzi prof. Tretiak, że Słowacki, rozważywszy swą niepopularność i przypisawszy ją nizkiemu rozwojowi umysłowemu narodu, przyszedł do potępienia rodaków i (opartej na zdaniu Krasińskiego) wiary w swoją genialność. »Czyż fantastycznie nastrojona jego lutnia nie była duszą anielską, zamkniętą w rubasznym czerepie szlacheckiego społeczeństwa?« — pyta prof. Tretiak (str 87.), stając niby na stanowisku Słowackiego, a nie pojmując, że według rozumienia poety Polska ma duszę anielską bez względu na niego samego. Wreszcie powiada prof. Tretiak: a potępiwszy społeczeństwo w stosunku do siebie (!), zapragnął je potępić także pod względem patryotycznym i politycznym«.

Jakżeż jednak inaczej wygląda prawdziwa geneza Grobu! Poeta, zeczywszy miejsce chwały greckich bojowników za ojczyznę, na mocy kojarzenia wyobrażeń wspomniał analogiczne dzieje Polski i spostrzegłszy rażącą różnicę, zapragnął potępić polskie społeczeństwo pod względem patryotycznym i politycznym, a raczej gorzkiemi słowami obudzić je z letargu do głębszego poczucia hańby i wznieciwszy wyrzuty sumienia zachęcić do wystrzegania się sromu na przyszłość. Nie przeczę, że w wykonaniu przeholował, że uniósł się zbytnią surowością, ale to rzeczy samej w sobie nie zmienia.

Prof. Tretiak mówi dalej (str. 122). Przez mózg i rozum nie mógł nic innego Słowacki rozumieć, tylko wyższą kulturę estetyczną zachodnio-europejską, której sam czuł się przedstawicielem, a której brak spostrzegł w rubasznym czerepie narodu, tę inteligencyę artystyczną, która lubowała się w języku imaginacyi, w grze wyobraźni, dla samych kształtów tej gry«... Jest to w kierunku dowolności nieskończoność. Takich pojęć jak te, które prof. Tretiak przytacza, nawet nieścisły, wyobraźnią suggestywnie mówiący Słowacki nie nazwałby »mózgiem i rozumem«. To są przecież całkiem różne rzeczy.

Nie dosyć. Jeszcze na domiar nieszczęścia Słowacki pisząc Grób Agamemnona był rozgrzany »cudzym ogniem« (str. 87). Słowacki mógł przeczytać Historyę powstania Mochnackiego — oto jedyny dowód! Czy jest jaka proporcya między ogromem zarzutu i siłą dowodu?

Przed oczyma prof. Tretiaka położyły się mgliste opary mylnych wniosków, do których doszedł i patrzy przez nie na wszystko. Wywiódłszy pozornie, że Słowacki potępił szlachtę z egoistycznych pobudek, dopatruje się cofania ze stanowiska zajętego w Grobie Agamemnona. Cofanie się ma mieć dwa stadya i wypływać znowu ze samolubnych względów. Na pierwszy stopień kreuje Dantyszka, na drugi Beniowskiego. Nominacya odbywa się w sposób bardzo prosty.

Mianowicie upatruje prof. Tretiak sprzeczności (str. 107.) między kontuszowym szlachcicem Dantyszkiem, który w końcu na bohatera wyrasta, a wzywaniem do zrzucenia »płacht ohydnych«, kontusza i złotego pasa w Grobie Agamemnona. Dziwny wir myśli! Przecież kontusz i pas były w Grobie symbolami całych pojęć, jak wspominałem powyżej, trudno zaś było w Dantyszku ubierać szlachcica w sukmanę czy marynarkę; toteż tu kontusz spada do kategoryi czysto zewnętrznych oznak, do kategoryi rzeczy przypadkowych, nie istotnych. Natomiast prof. Tretiak widzi tu zasadniczą zmianę poglądu, powstałą oczywiście w pogoni za popularnością, gdy Słowackiemu wyperswadowali krewni, że jego utworów ogół nie pojmie i nie oceni.

Drugiem stadyum ma być Beniowski. Najpierw (str. 192.) ironizuje prof. Tretiak, jakby mimochodem, na temat niespodzianej przemiany Polski, zwanej dawniej »pawiem narodów» i »cudzą służebnicą«, w »córkę Boga« i »siostrę Ukrzyżowanego«. Potem rozsnuwa już swoje zapatrywania dokładniej (str. 275). Owóż zakłada sobie, że Słowacki, symbolizując staroszlachecką przeszłość w »czerepie rubasznym«, patrzył na nią z pogardą. W Beniowskim natomiast widzi dla niej pobłażanie, skojarzone z miłością. Naturalnie wykoncypowawszy sobie przewrotową metamorfozę w poglądach musiał wynaleźć przyczyny odmiennego zapatrywania. Podaje dwie: 1. wyobraźnia poety była pociągnięta barwnością pamiętników z polskich czasów, a w szczególności konfederacyą barską, jako bardzo malowniczą; 2. Słowacki przekonał się, że dopiero szlachecki Beniowski (pięć najpierw wydanych pieśni) zjednał mu sławę.

Niepodobieństwem zgodzić się na to. Co innego jest przecież wybuchnąć oburzeniem w Grobie Agamemnona, co innego zaś mimo tego kochać przeszłość. Nigdy w Słowackim nienawiści, czy pogardy absolutnej dla przeszłości znaleźć nie możemy. Nie gra on na dwóch odmiennych harfach, tylko różnie jedną i tę samą stroi. Więc jeśli pełną dłoń na strunach położy i szarpnie z dziką mocą, popłynie pełna dysharmonii namiętna pieśń piorunowa, w której zajęczą skargi, zahuczy oburzenie, potężnym akordem zagrzmi wyrok potępienia. Kiedy znów inne obrazy duszę poety nawiedzą, inny stan nastroju wywołując, wtedy miękko trąci struny, zapłacze wspomnieniem, marzeniem westchnie, zadźwięczy silniej miłością, w końcu uderzy w hymn uwielbienia. Bo ojczyznę czci i kocha, bo tylko jej wady gromkim głosem gromi.

Kiedy stajemy z podziwem przed cudownie różnobarwną harfą Słowackiego, wtedy prof. Tretiak szarpie nasze serce zarzutem, jaki robi poecie właśnie z powodu owej różnobarwności. Oto Słowacki w r. 1838. napisał Ojca zadżumionych i popełnił znowu rodzaj zdrady ojczyzny. Bo »podziwiając kunszt artysty, czujemy pewien chłód akademicki, wiejący z utworu, a artyzm tematu na tle uczuć przenikających współczesną poezyę polską wygląda dziwnie i na anhelliczność poety rzuca szczególne światło«. A więc szpetnie było w 38. r. napisać wiersz, w którymby nie istniała Polska. Pomijam ów »chłód akademicki«, którego nie z Dyogenesową latarką, lecz przy blasku stu słońc elektrycznych

nikt prócz prof. Tretiaka nie znajdzie. Drobnostka! Ale owo zdziwienie, owo »szczególne światło«, to chyba żart.

Taka jest pierwsza wiązka, jaką zebraliśmy w dziele prof. Tretiaka, a ogólnie ma ona na nas robić wrażenie, że Słowacki nie był zupełnie patryotą. Druga z kolei rzuca cień na jego uczucia przyjacielskie i społeczne.

Poeta »w przyjaciołach kochał siebie« (str. 7). Jeden z nich, Skibicki, »lubiał zmyślać, a nawet przyjaciela zaprawiał do tego« (str. 31.) Prof. Tretiak zręcznie, lecz złośliwie zestawia tego oszusta ze Zanem (str. 33.), przez co usiłuje zdyskredytować wpływ środowiska na Słowackiego. Chce on także — zdaje się — udowodnić, że poeta został zdeklarowanym demokratą nawet po wydaniu Beniowskiego i najnaturalniej w świecie dopiero wówczas, kiedy zapisanie się do czerwonego obozu najwięcej obiecywało wziętości i sławy. Rozbierając bowiem Beniowskiego uporczywie posądza Słowackiego (str. 198.), że umyślnie niejasno mówił o stronnictwach emigracyjnych, ażeby różnie można było sobie tłumaczyć jego intencye polityczne. Zarazem jednak stara się wmówić w czytelnika, że Słowacki sympatyzował z Czartoryskim. Prawdopodobnie urodzi się w tej całej historyi Słowacki jako chorągiewka polityczna, zwracająca się w stronę, w której dają więcej.

Natomiast według mojego rozumienia ani nie było w Beniowskim absolutnej potrzeby stanowczego opowiadamia się przy jakimś sztandarze, ani też Słowacki nigdy nie opuścił demokratycznej chorągwi. Wprawdzie nie należał do żadnego stronnictwa, ale podobnie nie należał także Krasiński. Stronnictwo w danej chwili reprezentują nie tylko idee, lecz obok nich i ludzie, którzy idee w przeróżny sposób modyfikują. Słowacki był demokratą, czego dowodem choćby koniec Anhellego, ale nie należał do demokratycznego odłamu, ponieważ mógł nie zgadzać się z jego przedstawicielami w rzeczach bardzo nawet ważnych. W czasie tworzenia Beniowskiego był przedewszystkiem patryotą i to wystarcza W poemacie przeważnie negatywnym, przeważnie krytykującym, oświadczył jasno, że ani panslawizmu, ani ultrakatolicyzmu nie pochwala, że drogi, które Mickiewicz obiera, uważa za fałszywe. Przypuśćmy, że nie miał racyi nie tylko w tem, że potępiał drogi Mickiewicza, ale i w tem, że przypisywał Mickiewiczowi drogi, jakiemi ów wcale nie kroczył. W każdym razie nie przeciwstawiając (str. 217.) wymienionym a wzgardzonym zasadom społeczno-politycznym swoich zasad, wyraźnie i dobitnie określa wielką część swego posłannictwa, jako poeta. Oświadcza mianowicie, że jego zadaniem jest dać ludowi język do wyrażenia wszystkiego.

»Gdy zechce kochać, ja mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoją śpiewał.
Kiedy kląć zechce... przezemnie kląć będzie;
Gdy zechce płonąć... ja będę rozgrzewał,
Powiodę tam, gdzie Bóg... w bezmiar... wszędzie.
W me imię będzie krew i łzy wylewał.

Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi,
W dzień jako słońce, w noc jak żar prowadzi«.

Toteż wiersz »Powiodę tam gdzie Bóg, w bezmiar, wszędzie«, nie znaczy »kto prowadzi wszędzie, ten nie prowadzi nigdzie«, ale znaczy, że całego ducha Polski i Polaków umysły posunie naprzód, na wyższym stopniu kultury postawi, że wykształci uczucie i wyobraźnię narodu, że jego poezye będą skarbcem myśli narodowej.

Powoli z coraz straszliwszą prawdą staje przed naszemi oczami duch Słowackiego w tej postaci, w jakiej go sobie wyobraża prof. Tretiak. Jak na suchym, obumarłym pniu drzewa żadne nie wyrastają gałęzie, tak w duszy poety, stoczonej przez egoizm, żadne nie może zakiełkować szlachetne uczucie Prof. Tretiak podaje poniekąd w wątpliwość ogrom jego miłości ku matce, która jest udowodniona i powszechnie znana. (Ton ostatniej zwrotki i dopisek na str. 73.; dopisek na str. 183.) A już żadnej kobiety Słowacki nie kochał prawdziwie. Natomiast ów anielski poeta gotów był ożenić się dla posagu (str. 102). Prof. Tretiak wyciąga nieraz wnioski o życiu poety z poezyi, czego robić nie wolno bez wielkich zastrzeżeń (np. str. 163). Z ironią opisuje miłość do pani Bobrowej (np. str. 159. 165.) i z nią powiązane wypadki (str. 227. 238. 289.)

Książka prof Tretiaka nie jest historyą ducha Na razie podniosę jeden ważny fakt. Krytyk nie mówi jasno o wyrabianiu się z biegiem lat pod każdym względem, nie określa i nie uwidocznia rozwoju. Przeciwnie, skory jest, aby to, co takiemu rozwojowi przypisać się winno, odnieść do chwilowych, zewnętrznych wpływów. Słowacki, mając 26 lat (1835.), znienawidził dawne swe utwory, później nawet potępił je sam publicznie (w odpowiedzi na recenzyę Z K. w »Młodej Polsce« 1839 30. III.), mówiąc, że są bez duszy. Tymczasem prof. Tretiak przypisuje to (str. 76.) w pierwszym rzędzie wpływowi P. Tadeusza, samotnemu pobytowi w Veytoux i krytyce. Na rozwój duchowy, na samokrytycyzm, na dojrzewanie sądu o sobie samym — zabrakło tu miejsca.

Najbardziej charakterystycznym faktem w rejestrze przyczyn zmiany poglądów Słowackiego jest wysunięcie Tadeusza na plan pierwszy. Takie przypisywanie silnego wpływu Mickiewicza na Słowackiego nie jest odosobnionem zjawiskiem, ale łączy się ściśle ze systematycznością, z jaką krytyk usiłuje wykazać bezwzględną supremacyę Mickiewicza. Przypomnieć muszę, że książka prof. Tretiaka wyniknęła z zamiaru przedstawienia antagonizmu między poetami. Toteż myśl o Mickiewiczu nie opuszczała go ani na chwilę. Odbiło się to ujemnie przy podawaniu genezy wielu utworów Słowackiego.

Co bowiem wkładało poecie pióro w rękę i zmuszało go do pisania? Oczywiście wewnętrzna potrzeba natchnienia, które wzbiera w jego duszy, jak lawa w wulkanie i szuka upustu na zewnątrz znowu, jak lawa. Inaczej przedstawiają się twórcze wybuchy u prof. Tretiaka. Tam Hugo, Mnich, Bielecki, Arab, Żmija wypływają z chęci prześcignięcia Wallenroda w duchu bajronicznym. Kordyan wskutek

współzawodnictwa z Dziadami. Mazepę napisał poeta dzięki komplementowi, że dobrze tańczy mazura.

Przytem Słowacki niezgrabnie naśladował Mickiewicza w młodzieńczych utworach, a przedewszystkiem w Lambrze. Gromi go za to prof. Tretiak, zapominając, że, kiedy Mickiewicz pisał Wallenroda, miał lat 28., Słowacki pisząc Lambra 23. Tak samo idzie dalej, ciągle przymierza jednego do drugiego, ciągle naśladownictwo Mickiewicza wykazując. Ale ani razu nie wspomina, że ten młodszy Juliusz szedł za Adamem, za pierwszą gwiazdą, że to był naturalny wynik rzeczy. Ale nie uwidocznia, że Słowacki już za młodu pisał niezależnie od Mickiewicza np. Godzinę myśli i Balladynę. Nie uwidoczniając wpływu wprost na Balladynę, szuka prof. Tretiak wpływów pośrednich. Mianowicie do wczytywania się i tworzenia w duchu Shakespeare'a miała myśl Słowackiego skierować krytyka z »Le Polonais« o Kordyanie (prawdopodobnie pióra Mickiewicza). Tak jest nie tylko w stosunku do Mickiewicza, ale i do Krasińskiego i wszystkich poetów świata. Z książki prof. Tretiaka każdy snadnie dowiedzieć się może gdzie, co i jak ukradł Słowacki. Gdzie tu ta przechwalona wyobraźnia poety? Przecież tej nie tylko nie odmawia prof. Tretiak, ale owszem na czele cech duszy Słowackiego ją stawia. Czy się da z tem jednak pogodzić królewska wyobraźnia, która ma gronostaje pozszywane z okrawków cudzych szat, która pasie się cudzą własnością i sama z siebie ledwie czasem coś wykształcić zdoła?

Współzawodnictwo między Słowackim i Mickiewiczem bezsprzecznie było; ale szlachetna to rzecz współzawodnictwo takie. Ono animuje, zachęca, rozpala. Jest jednak dodatkiem, nie rdzeniem kwestyi. Kordyan był napisany po części z zamiarem współzawodnictwa, w rzeczywitości jeszcze dla innych powodów. Natomiast wydanie Kordyana bezimienne wypłynęło jedynie z takiego rozumowania Słowackiego: skoro ludzie nie będą wiedzieli, że to moje, uznają za arcydzieło nieuprzedzeni. Sam Słowacki pisze: „drukuję bezimiennie, będzie tak równiejsza walka z Adamem". (Listy l. 215. u Tret. str. 55). Prof. Tretiak natomiast konstatuje najpierw, że stawanie do boju ze spuszczoną przyłbicą „ oznaczało mniejszą pewność zwycięstwa" (s. 53.), (co słuszne, bo do Słowackiego wielu było uprzedzonych) a następnie (str. 55) jako dalszy powód bezimienności podaje obawę poety przed porównaniem z bohaterem dramatu, przyczem naturalnie on sam jako zbieg warszawski, wyszedłby bardzo kuso. Gdzie więc rzeczywiście zamyka się przyłbicę tylko dlatego, żeby czytelnicy sądzili dzieło nie autora, tam za przyczynę podaje się nieistniejącą trwogę przed widmem, z którego ukuć zarzutu nie można.

Prof. Tretiak nie wierzy Słowackiemu, gdy ten oświadcza, że jedynym celem jego pracy poetyckiej było, aby „literaturę naszą... silniejszą i trudniejszą do złamania wichrom północnym uczynić". Niewiarę zaś buduje na znanej już przesłance, że sprężyną twórczości Słowackiego było współzawodnictwo, no i chęć sławy. Znowu posądzenia, ale nie dowód.

A niechęć do Mickiewicza. Proszę sobie wyobrazić, jaką pasyą

musiały zdejmować Słowackiego owe słowa o kościele bez Boga. Tułały się one po recenzyach, w rozmowach, powagą autorytetu poparte. Były one przekleństwem strasznem, nieubłaganem, niezatartem dla współczesności. Były piętnem raz na zawsze na czole poety wypalonem. Prof. Tretiak, wpatrując sie w duszę Słowackiego, widzi także to piętno, bo ono najbliżej, co po za niem, zbywa obojętnością.

Jak niesprawiedliwą była dla Słowackiego emigracya! Gdy poeta pisał z miłością, nie uznawali go dostatecznie. Gdy Beniowskiego wydał, schylili przed nim głowy nawet ci, którzy przedtem nie oddali mu pokłonu. Działanie takiej atmosfery również nie zostało uwzględnione.

Tymczasem to wszystko razem łączy się w okoliczności łagodzące, które przytoczyć ma obowiązek każdy sędzia, a które milczeniem pomija jedynie oskarżyciel.

Wreszcie oceny dzieł i uwagi o nich. Rozrzucone one po całej książce, wiele w nich słuszności, wiele rzeczy całkowicie nowych, są i niesłuszne.

Na przykład domyśla się prof. Tretiak (str. 35.), że przesłanym przez Malewskiego za granicę poematem Słowackiego był Hugo, ale niesłusznie, bo Malewski pisze: „Przysłano tu (do Petersburga) Edwardowi chwalone przez niego poema oryentalne Słowackiego. Posyłam na odwrocie wyjątek". (List z d. 11. VI. 1829.) Skoro oryentalne, to absolutnie nie Hugo.

K. Jarecki (Bibl. warsz. 1901. IV.) udowadnia niezbicie, że poemat W Szwajcaryi powstał w Genewie w r. 1835; prof. Tretiak, rozprawy tej nie uwzględnia.

W Kordyanie scena z papieżem ma być zupełnie zbyteczna (str. 56.), ponieważ bohater cierpiał na brak wiary już wówczas, gdy wybierał się »rąbać nadpróchniałe drewna«. Istotnie dziecinnej wiary nie miał, ale wiarę przecież posiadał. Dowodem ustęp: »Bóg promień duszy wcielił w nieskończone twory« (Dzieła Krak. 1888. t. V. s. 216.)

Lekki ton Podróży na Wschód ma być nieodpowiedni (str. 83, 84, 148), bo cel podróży był wzniosły. Trudno się zgodzić na ten zarzut, ponieważ co innego sama droga pełna komicznych przygód, co innego dopiero byłoby, gdyby Słowacki nie był zmienił tonu w poważnych chwilach.

Niepoprawni roją się od niekonsekwencyi zdaniem krytyka. Stanąłbym jednakowoż w obronie prawdopodobieństwa charakteru Fantazego, Idalii i Majora. Ale wymagałoby to dłuższego wywodu, ograniczam się więc tylko do powyższej — przyznaję, gołosłownej wzmianki.

Dobiegliśmy do końca książki. A czy jest ona »Historyą« ducha poety? Nie, nigdy. Jest ona tylko kroniką słabości wielkiego ducha, słabości, zestawionych przygodnie w różnych okolicznościach życia. Rozdęto je niejednokrotnie do rozmiarów, na jakie nie zasługiwały. Odmówiono poecie wszelkich głębszych uczuć. Zarzucono mu brak dobrego serca (str. 5.), wszystkie marzenia sprowadzono do najczystszego egoizmu (12.), nazwano go naturą egoistyczną na wskróś (18.), uznano

samoubóstwienie za główny rys jego ducha (12). Najwyższym celem pragnień Słowackiego miało być: przejrzeć się w szerokim — jak świat zwierciedle sławy (12.). Poezya jego była wykwitem jedynej głębszej idei: idei samoubóstwienia (14). A przecież człowiek, któryby »w sercu nie miał nic prócz miłości własnej“ (69.). — byłby psychologicznym potworem.

Natomiast rozwój i rozkwit, natomiast olbrzymienie ducha do potęgi coraz większej nie zostały uwidocznione w tem dziele, mającem tytuł: „Historyi“. Dobre, wzniosłe strony zbyto milczeniem z wyjątkiem stosunku poety do przyrody i czystości w uczuciach miłosnych. Często nie tyle rzecz, ile ton jest przykry. Książka pisana ładnie. wiele w niej miejsc rozumnych bardzo. Analiza bystra i sprytna, licząca się z całą spółczesną literaturą. Gruntowna znajomość czasopism emigracyjnych pomogła do licznych, świeżych świateł. Nowych, drobnych wyjaśnień moc duża. Nikt dotąd nie określił w tym rodzaju piękniej i szerzej stosunku Słowackiego do przyrody. Karty odnoszące się do tego stosunku (9—11. i 209—211.) są niepospolicie ciekawe. Połączony z nim rozbiór ówczesnych przekonań Słowackiego jest i nowy i świetny poniekąd.

Przecież czytamy książkę z podburzonymi nerwami; bo wobec ostrego sądu o Słowackim, jakże wymownym, jakże pobłażającym, jakże gorliwym obrońcą jest prof. Tretiak, gdy chodzi o Mickiewicza w sprawie umieszczenia dr. Bécu w Dziadach!

Schiller i Goethe byli przyjaciółmi, ale właśnie wielbi się ich za to, ponieważ taka przyjaźń była nadzwyczajnym wypadkiem. Między Słowackim i Mickiewiczem wrzał antagonizm, wrze spór między wielbicielami obu poetów. Zamiast godzić zwaśnionych prof. Tretiak waśń podsycić może. Ale kto Słowackiego czci prawdziwie, nie sięgnie po koronę Mickiewicza, by ją na głowie współzawodnika osadzić. Serce nasze dość obszerne, by obu ukochać, obu wielbić z zapałem.

Negatywna zaś w przeważnej części książka prof. Tretiaka powinna wywołać zaprzeczenie i uzupełnienie w pozytywnym wykładzie.

Stanisław Turowski.

Przegląd najnowszych prac o J. Słowackim.

I. Wydania. Rok bieżący przyniósł pierwsze »książkowe« wydanie Samuela Zborowskiego (Juliusz Słowacki: Samuel Zborowski. Dramat w 5 aktach. Wydanie z autografu ze wstępem i objaśnieniami dra H. Biegeleisena. Warszawa, 1903. str. 215), książkowe, bo już w r. 1901. ogłosił ten sam utwór Artur Górski w Słowie warszawskiem 1901. nr. 156 i n. i w urywkach w Słowie polskiem 1901 nr. 314. i n; w r. 1884. wydrukowało Echo muzyczne i teatralne kilka scen Zborowskiego (nr. 50, 52, 54).